

## ROZDZIAŁ 1

# *Boskie starania*

– Jim, a co ty tu w ogóle robisz? – zapytał Warren.

Czytałem w jego myślach. Był wyraźnie przekonany, że tu, w górach marnowałem swoje życie, podczas gdy w mieście mógłbym zbijać fortunę. Przyjechał na ustronie w poszukiwaniu nieruchomości i tak oto całą trójką, razem z jego ciężarną żoną, podskakiwaliśmy w mojej furgonetcie, rozbijając się po podrzędnych wyboistych drogach celem obejrzenia pewnej posiadłości.

– Widzisz, Warren – zacząłem – jestem chrześcijaninem i przyjechałem tu z rodziną, żeby...

– Przestań, Jim – przerwał mi w pół zdania. – Ja nie jestem chrześcijaninem i w żadne chrześcijaństwo nie wierzę. Nie chcę w ogóle o tym słyszeć!

W szczelnie zamkniętej kabinie mojego samochodu powiało nie ukrywanym chłodem. „Jak Bóg może dotrzeć do kogoś takiego?” – zastanawiałem się. Mimo tego czułem, że muszę coś więcej powiedzieć. Pomodliłem się w myślach, po czym powiedziałem:

– Warren, daj mi proszę parę minut, a o chrześcijaństwie nie wspomnę już słowem – poprosiłem. – Bóg, którego poznałem mieszkając tu w górach, kocha cię tak bardzo, że chociaż Go odrzucasz, któregoś dnia, gdy będziesz Go potrzebował, będzie przy tobie. Przyjdzie dzień, Warren, w którym Bóg będzie ci potrzebny...

Jeśli atmosfera w samochodzie była przedtem chłodna, to po moich słowach złapał mróz. Wyglądało na to, że jeszcze tylko pogorszyłem sytuację. Załatwiliśmy odpowiednie sprawy i Warren wyjechał. Jednak ta rozmowa przypominała mi, że i ja kiedyś byłem w chłodnych stosunkach z Bogiem.

„Któregoś dnia, gdy będziesz Go potrzebował, będzie przy tobie. Przyjdzie dzień, w którym Bóg będzie ci potrzebny”.

\* \* \*

16 grudnia 1948 roku

– Proszę pana – wyraźnie zmęczony lekarz zwrócił się do człowieka, który wydawał się, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej zmęczony i zatroskany od owego lekarza.

– Tak? – odpowiedział z nutą nadziei Henry. Jego reakcja zdawała się nie przystawać do zniszczonej poczekalni, której powietrze przenikał zarówno zapach dymu tytoniowego, jak i wszechobecna woń lęku i oczekiwania zazwyczaj unoszącego się w tego rodzaju pomieszczeniach.

– Ma pan syna – cień uśmiechu zatańczył na czerstwej twarzy lekarza.  
– Chłopiec waży cztery kilogramy i dwieście gramów.

– Cudownie! A jak się czuje żona? – zapytał ożywiony wiadomością o synu Henry.

– Poród był ciężki – na twarzy lekarza malowała się wyraźna troska – ale może się pan z nią zobaczyć – dodał wyprzedzając pytanie Henry’ego.

Tamtego dnia w ramionach matki nie miałem pojęcia, że od momentu poczęcia stałem się uczestnikiem konfliktu między Bogiem a szatanem. Już wtedy, gdy kształtowałem się w maczynym łonie, Bóg w Swojej nieskończonej miłości uruchomił szczególny plan, który obudził w moim sercu pragnienie i tęsknotę za Nim. Bo przychodziłem na świat żyjący w sprzeczności z Nim, w buncie przeciwko Jego prawom, Jego woli i Jego drogom.

Bóg wiedział, że urodzę się z naturą uszkodzoną ludzkim eksperymentem – z grzechem i że będę podążał za wrodzonymi skłonnościami i pragnieniami; wiedział, że nawet sama myśl o poddaniu Mu własnej woli i planów będzie mi zupełnie obca; doskonale zdawał sobie sprawę, że szatan będzie przeciwdziałał wszelkim Jego staraniom. Wreszcie, po prawie sześciu tysiącach lat historii ludzkości i oczekiwania na Jima Hohnbergera, pojawiła się szansa, by zdobyć moją miłość. Ponieważ Bóg zabiega o każdego człowieka, zabiegał także o mnie. Oto cudowne starania wypływające z Bożej miłości!

Bernice i Henry Hohnberger cieszyli się ze swojego trzeciego potomka. Zabrali mnie do skromnego domku w Appleton, w stanie Wisconsin.

sin, zdecydowani dołożyć wszelkich starań, bym wyrósł na uczciwego pracownika i dobrego obywatela. Chociaż jako niemowlę nie miałem pojęcia o miłującym Bogu, On przemawiał do mnie poprzez rodziców, którzy opiekując się mną, udzielili mi pierwszych nauk o Jego charakterze.

Na świat przyszedłem z wrodzonym uporem, który domagał się wyłączenie swego – i to natychmiast! Gdy byłem głodny – płakałem, chciałem nową pieluszkę – płakałem, gdy coś mi się nie podobało – podnosiłem płacz. Moja mama nie była do końca świadoma, że zaspakajając te potrzeby, uczyła mnie o trosce Ojca Niebieskiego.

Bywało, że płakałem, bo położyła mnie do łóżeczka, podczas gdy ja chciałem, żeby nosiła mnie na rękach. Wtedy mogła albo ulec płaczącemu dziecku, albo nauczyć je, że to ono ma podporządkować jej swoją wolę. Ulegając i zabierając mnie z łóżeczka uczyła, że płaczem mogę dopiąć swego, a rosnący w moim sercu upór stawał się silniejszy; gdy jednak swoim postępowaniem komunikowała mi: „Postanowiłam, że zostaniesz w łóżeczku i nie zmusisz mnie, żebym cię z niego zabrała”, uległością wobec siebie uczyła mnie uległości wobec woli Bożej. Ponieważ rodzice zastępują maluchom Boga, dzieci przez posłuszeństwo im uczą się także posłuszeństwa Bogu. I takim oto sposobem w moim życiu zaczęło się wielkie przeciąganie liny – czasami potyczkę zwyciężał szatan, czasami Bóg; a ja rosłem i uczyłem się.

Od chwili przyjścia na świat rośnie w nas pragnienie szczęścia i spełnienia. Jeśli mądrzy rodzice oraz Boża łaska odpowiednio nim nie pokierują, zaspokojenia najczęściej szukamy w dobrach materialnych. Dobra same w sobie nie są złe – Bóg, stwarzając ziemię, wypełnił ją przecież rzeczami, które cieszą i sprawiają przyjemność. Problem w tym, że człowiek ulega odwiecznej pokusie przypisywania wartości rzeczom, nie zaś ich Dawcy.

Wystarczy przypomnieć sobie święta Bożego Narodzenia, gdy jako dzieci, rozdarłszy kolorowe wstążki i papiery, by czym prędzej dostać się do upragnionej zabawki, z trudem potrafiliśmy wyrazić wdzięczność osobie, od której ją otrzymaliśmy. Po matczynym upomnieniu wymamrotaliśmy parę słów podziękowania, ze wzrokiem wbitym w swój cenny skarb. Przedmiot zajął miejsce należne dawcy.

W moim przypadku takim przedmiotem był rower Shwinna z podwójnie chromowaną ramą i przerzutką z trzema biegami. Ach, jak ja uwielbiałem ten rower! Był najpiękniejszym rowerem w okolicy. Ostatecznie moje uczucie przeobraziło się w miłość do czerwonego kabrioletu Pontiaka. I tak oto świat powoli uczył mnie stawiać znak równości między szczęściem a posiadanymi dobrami.

Dobra nie muszą być materialne; mogą nimi być pozycja, ludzie, władza, zaszczyty, przyjemności. Mnóstwo osób wierzy, że szczęście i spełnienie przychodzą wraz z władzą, honorami czy sławą; inni wierzą, że spotka ich trwałe szczęście, gdy poślubią daną osobę albo zobaczą egzotyczne miejsca; jeszcze inni mają nadzieję, że prawdziwe szczęście osiągną w poszukiwaniu przyjemności, wolni od zobowiązań.

Wszystkie te rzeczy zaczynają rywalizować o miejsce w sercu, którego pragnie Bóg. Ponieważ On to widzi, zaczyna zabiegać o nas zanim jeszcze sami zapagniemy odnaleźć w Nim spełnienie: „I zanim zawołają, odpowiem im [...]” (Iz. 65, 24).

Chwała Bogu za to, że wpisał w serce człowieka pragnienie prawdziwego spełnienia, które oferta świata może zaspokoić tylko powierzchownie. Nie brakuje wokół nas ludzi sukcesu, którzy zdobywają bogactwo, władzę, sławę – wszystko, co według świata powinno dawać szczęście – a mimo to są największymi nieszczęśliwymi pod słońcem, nierzadko kończącymi życie w niewoli narkotyków, marną śmiercią samobójczą.

Szatan toczy bój o ludzkie dusze, uwodząc je całym blaskiem i kosztownościami tego świata. Zwodzi, sprawiając, że nawet najgorsze wybory wydają się dobre. Atakuje umysły i bombarduje zmysły przez każde możliwe źródło przekazu, czasopisma, gazety i uliczne reklamy. Pragnie podporządkować sobie człowieka, podsycając jego pragnienia, namiętności i apetyty. By zobaczyć, jak zniewala istoty ludzkie, wystarczy choćby spojrzeć na reklamy tytoniu i alkoholu, które przekonują, że kto pije czy pali, ten staje się popularny, seksowny i wysportowany. W efekcie, niestety, przybywa niewolników używek, okradanych ze zdrowia, pieniędzy i szczęścia.

Bóg ma utrudnioną walkę o ludzkie serca; On nigdy nie kłamie i nie zwodzi. Mówi: „Oto stoję u drzwi i kołaczę; jeśli ktoś usłyszy głos mój i otworzy drzwi, wstąpię do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze mną” (Obj. 3, 20).

Bóg apeluje do intelektu, rozsądku i sumienia. Człowiek musi na ten apel odpowiedzieć dobrowolnie, bo Bóg nie chce robotów. On może umieścić w ludzkim sercu pragnienie i tęsknotę za Nim, ale co z tym zrobimy, zależy wyłącznie od nas. Bóg nigdy nie przymusza ludzkiej woli.

Nie wiedziałem, że mam problem z własnym ja, które musi za wszelką cenę postawić na swoim, bo taki byłem od zawsze. Mimo to Bóg zabiegał o mnie przez trzydzieści lat – tak długo, aż w końcu poczułem, że Go potrzebuję. Zanim jednak zdobył moje uczucia, upłynęło następne dziesięć lat, a twierdza mojego serca poddała się dopiero po kolejnych sześciu. Wtedy stałem się Jego.

Biblia opowiada o Abrahamie, który został cudownie obdarowany potomkiem. Chłopiec, podobnie jak wszystkie długo wyczekiwane dzieci, stał się dla ojca całym światem, a później dumą i radością ojcowskiej starości. A Abraham znał Boga, i to bardzo blisko.

Pewnego razu poprosił Abrahama, by złożył Mu w ofierze swojego syna: „[...] Weź syna swego, jedynaka swego, Izaaka, którego miłujesz, i udaj się do kraju Moria, i złoś go tam w ofierze całopalnej na jednej z gór, o której ci powiem” (I Mojż. 22, 2).

Dlaczego Bóg żądałby czegoś takiego? Biedny Abraham! Jakże musiał cierpieć, będąc przekonany, że straci ukochanego syna! Chociaż z ciężkim sercem, ale nie wypowiedział Bogu posłuszeństwa. Bóg czekał, aż cierpiący starzec znajdzie się w punkcie, w którym będzie wiedział, że już nie ma odwrotu. Dopiero wtedy wkroczył, mówiąc: „W porządku, Abrahamie. Wcale nie chciałem ofiary twojego syna. Izaak jednak zajął miejsce, które należy się tylko Mnie, dlatego chciałem go zdetronizować, by móc niepodzielnie zapanować w twoim sercu”.

Abraham nauczył się, że dary Boże nie mogą stać się ważniejsze od Dawcy. Bóg tak samo postępuje z każdym człowiekiem – podąża za nim, dopóki nie zdobędzie go całego. Bóg nie chciał ofiary Izaaka: chciał Abrahama. On nie potrzebuje twoich czy moich rzeczy, ale jeśli zawłaszczyły sobie nasze serca, muszą zostać zdetronizowane.

Często wahamy się, czy oddać swoje „rzeczy” Bogu, zwłaszcza, gdy jesteśmy do nich szczególnie przywiązani. Ale nasze obawy są zbędne. Jezus nie przyszedł po to, by niszczyć, ale by ratować. Cokolwiek Mu

oddamy – będzie bezpieczne, natomiast to, czego Mu nie powierzymy – o to pewności mieć nie możemy.

\* \* \*

## SZEŚĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Właśnie podróżowałem przez Środkowy Wschód. Byłem w odwiedzinach u pewnej rodziny, kiedy zadzwonił telefon.

- Jim, to do ciebie! – zawołała pani domu.
- Witaj, Jim. Mówi Warren... – odezwał się głos w słuchawce.
- Warren! – niemalże krzyknąłem i od razu przypomniałem sobie naszą rozmowę w samochodzie. – Jak mnie tu znalazłeś?
- Łatwo nie było – odparł i po chwili oznajmił – Jim, urodziło nam się dziecko – pewność w głosie nagle gdzieś znikła.
- To wspaniale! Chłopiec czy dziewczynka?
- Chłopiec... – głos Warrena cichnął coraz bardziej.
- Warren, co się dzieje? – zapytałem.
- Mój synek urodził się z trzema otworami w sercu – w głosie rozmówcy usłyszałem cierpienie. – Potrzebuję twojego Boga, Jim! Potrzebny mi jest twój Bóg!

Złość i lęk Warrena ustąpiły miejsca potrzebie. Miałem w oczach łzy, słuchając jego historii i dzieląc się dobrą nowiną o tym, jak Bóg zabiega o serce każdego człowieka.

Kiedy po raz pierwszy zapraszałem na randkę moją żonę, Sally miała dość ograniczony wybór – mogła się zgodzić lub odmówić. Zgoda bez wątplenia wiązała się z większym ryzykiem, natomiast odmowa oznaczałaby, że ominie ją życie pełne radości płynącej z melodii dwóch harmonijnie bijących serc oraz małżeństwo skojarzone w samym Niebie. Jakaż smutna alternatywa!

Tak samo miłujący Bóg zabiega o tron naszego serca. Nie mamy dziesięciu różnych możliwości wyboru, bo istnieją tylko dwie: jedna – dobra, druga – żałosna. Postanowiłem ulec Bożym staraniom, które zakończą się dopiero z chwilą, gdy stanę twarzą w twarz z Tym, którego poznałem i pokochałem. A co ty wybierzesz?